

- Czytajac wywiad z Panią, odnoszę wrażenie, że coraz częściej Anna Dymna staje się instytucją publiczną, która może opowiedzieć coś ciekawego „na każdy temat”.

- Przychodzi nagle taki czas, że człowiek staje się opiniotwórczy. Po trzydziestu latach pracy w tym „publicznym” zawodzie zasypywana jestem pytaniami na różne tematy. Pytają o wszystko – a ja nie lubię się mądrzyć i często nie mam nic do powiedzenia, lub nie mam ochoty zabierać głosu. W dodatku ostatnio słyszę coraz mniej pytań o teatr, film, sztukę... Wystawcy kolorowych pisemek nie są wcale zainteresowani tym, że jestem aktorką. Nie wiedzą w jakim gram teatrze, ani gdzie pracuję. Dla nich jestem tylko osobą publiczną – „małpa” i chcą koniecznie wiedzieć, co „małpa” sądzi o samochodach, co lubi zjeść, jakich używa kosmetyków, jak i z kim mieszka itd...

- W obyczajowości pojawiło się nowe modne słowo – ekstremalny. Wszystko musi być teraz „ekstremalne” – także emocje, lzy, dramaty.

- Gdzieś przeczytałam, że istnieją cenniki na ujawnianie różnych drastycznych faktów przed kamerami telewizyjnymi: od stu do pięciuset złotych... Ludzie rozmawiają o swoich ułomnościach, grzechach z różnych powodów: dla sławy, za pieniądze, z chęci zemsty. Ja tego nie oceniam, ale buntuję się przeciwko praktykom, że gdzieś pomiędzy tymi informacjami pojawiają się wzmianki o moim życiu. To jest jednak bardzo upokarzające. Domorośli dziennikarze kreślą nasze sylwetki pomiędzy tekstami o menstruacjach, bolesnych stosunkach i pampersach. Niedawno przeczytałam taki podpis pod moim zdjęciem:

„Pani Dymna była chuda, a teraz jest taka gruba, ale jednak taka uśmiechnięta”. Tak przecież nie wolno. Nie należę do tych aktorów, którzy się zupełnie odgradzają od mediów. Wiem, że jestem osobą publiczną i zagrałam rolę, które ludzie zapamiętali i rozumieją, że są teraz ciekawego, co się u mnie dzieje – ale przecież można było to samo napisać dowcipniej, inteligentniej... inaczej.

- Z drugiej strony agencje aktorskie prowadzą bardzo poważne pertraktacje z wy-

dawcami o możliwość umieszczenia fotografií ich podopiecznych na okładkach wysokonakładowych pism.

- Wiem, że tak jest i że wielu młodych ludzi marzy o najdrobniejszej nawet wzmiance na ich temat, ale ja bez kokieterii uważam, że wykonuję bardzo ciężki i bardzo poważny zawód i nie uprawiam go po to, żeby być na okładce jakiegoś piśmida. Nigdy tak aktorstwa



Kadr z „Władzina”

nie traktowałam, zawsze wydawało mi się, że robię coś bardzo ważnego i potrzebnego. Tak byłam uczona przez wielkich twórców polskiego teatru. Oczywiście kilkanaście lat temu, występując w teatrze, pełniliśmy zupełnie inną rolę, także w świadomości społecznej, niż dzisiaj. Może nawet dobrze się stało, że teraz aktorstwo wróciło do zadań, do których zostało stworzone. Mamy bawić, wzruszać, czegoś uczyć, coś pomagać zrozumieć, ale zawsze jest to ciężka i odpowiedzialna praca.

Ogród życia

Rozmowa Łukasza Maciejewskiego z ANNA DYMNA

- Mówi Pani o etosie aktorstwa wypracowanym przed laty, ale dzisiaj nie wszyscy już tak myślą.

- Ciężko jest dzisiaj być aktorem. Trudniej wykonywać ten zawód z pełnym oddaniem i poświęceniem. Kiedy patrzę na niektóre serie w telewizji, w których moi koledzy grają na równych prawach z pozbawionymi talentu amatorami to sama czuję się w jakiś sposób unieważniona. Odkąd pamiętam, zawsze pojawiali się wspaniali amatorzy – prawdziwe indywidualności, ale osobnicy występujący w niektórych serialach i sitcomach są tylko bezradni i żałośni, ale może po prostu tańsi. A przecież serie pełnią tak ważną funkcję. Dla wielu widzów bohaterowie tych telewizyjnych powieści są jedynymi przyjaciółmi, wzorcami, przykładami – serie powinny zatem kształtować gusta, wyrabiać wrażliwość – czyż nie powinny być na możliwie najwyższym poziomie artystycznym? I tak się dzieje kiedy na przykład Tereska Kotlarczyk robi „Na dobre i na złe”, to jest najlepsza w świecie robota – smacznie zrobione sceny, świetni aktorzy. Natomiast najgorzej jest jak się serie robi lewą ręką: byle jak i z byle kim.

- Uważany za redutę prawdziwej sztuki teatr również coraz gorzej znosi „nowe, wspaniałe czasy”.

- To prawda, jest coraz gorzej. Nie ma pieniędzy, żeby grać nawet to, co już jest w repertuarze. Odwołujemy spektakle, aby można było cokolwiek nowego „wyprodukować”. Dziura budżetowa wpłynęła błyskawicznie na sytuację w kulturze! A przecież kultura pochłania ułamek procenta narodowego budżetu. Wydawało się, że to tak mało, że nie można jej już nic zabrać. A jednak... Są też inne anomalie. W niedziele

zawsze graliśmy przedstawienia i to przy pełnych widowniach. Przez długi czas sądziłam, że pogłoski o wstrzymaniu grania w niedziele nie były poważne. Podjechałam pod Scenę Kameralną i stanęłam jak wryta – nie było tłumów przed teatrem, parking stał pusty. Pytam portiera co się dzieje: „Jak to, Pani nie wie, w niedziele już nie będziemy grać”. Poczulałam się dokładnie tak, jak przed laty – kiedy z Jurkiem Hoffmanem w Moskwie wybraliśmy się o pierwszej po południu na obiad, a na drzwiach restauracji było napisane: „od trzynastej do piętnastej przerwa obiadowa”. Jeżeli nie będziemy grać w niedziele, to będzie to taka przerwa obiadowa w porze obiadowej. Nigdy się o teatr nie bałam. „Staremu” kryzys się należał, bo jak długo mógł to być najlepszy teatr w Polsce! Zawsze jednak graliśmy bardzo dużo i zawsze przy kompletach na widowni – teraz gramy coraz mniej – i to jest dopiero niebezpieczne, bo jeżeli się nie gra w teatrze, to teatr powoli umiera, a i widownia może odejść!

- A może nie jest aż tak źle? Zawsze w kasandrycznych prognozach niepokoi mnie skłonność do uogólnień. Są różni ludzie, różne postawy – nie tylko te „małe”.

- Trzeba zdać sobie sprawę, że żyjemy w pewnym zakłętym kręgu ludzi kulturalnych, których w mniejszym albo większym stopniu obchodzi sztuka. Ale jesteśmy w straszliwej mniejszości. Lansuje się bohatera rodem z „Big Brother”, ale winy za to nie ponoszą ludzie którzy tam wystąpili – zrobili to dla pieniędzy, albo żeby się wyrwać z szarzyzny życia – tylko ci, którzy tego typu postawy propagują. Uważam, że „Big Brother” jest eksperymentem szkodliwym: zamyka się ludzi obserwując kto kogo pierwszy wykończy. Czy to w ogóle jest dopuszczalne? Czy psychologom wolno na oczach całego społeczeństwa eksperymentować na ludziach promując sytuację, gdzie donos jest wartością i gdzie odbiera się intymność? Z intymności kreuje się towar do sprzedania, z rywalizacją, która polega na donosicielstwie, robi się pewien wzorzec moralny w społeczeństwie. Powiem jednak że to bardzo groźne zjawisko. A dla ludzi ekscytujące – oglądalność duża – duże zyski – a tylko o to zaczyna chodzić!

Ogród życia

- Mówiła Pani, że nie jest łatwo być dzisiaj aktorem. A jednak liczba kandydatów na aktorskie studia wcale się nie zmniejsza. Czemu młodzi ludzie oczekują dziś od aktorstwa – popularności, sławy, zawodowego spełnienia?

- Pewnie każdy z nich oczekuje czegoś innego. Popularność nie ma żadnej wartości. Żeby być popularnym nie trzeba zagrać Hamleta – wystarczy wystąpić w „Big Brotherze”, albo symulować kopulację w „Amazonkach”. Prowadzę zajęcia ze studentami i naprawdę nie wiem, jakiego stosunku do zawodu mam ich teraz uczyć: chyba tylko samodzielności. Mogę im mówić o postępowaniu, ale oni wiedzą, że z teatru trudno wyżyć, że ma mały zasięg, nie zapewnia popularności. Oczywiście są też wśród tych młodych ludzi prawdziwi pasjonaci, ale każdy musi z czegoś żyć. A pieniądze znaczą dziś o wiele więcej, niż dawniej. Kiedy ja byłam młoda, pieniądze w ogóle nie były nam potrzebne! Miałam dobrych przyjaciół, pieniędzy wystarczyło nam i na wódeczkę, albo żeby kotu kupić ryby, a kiedy byliśmy głodni, wtedy mu się te rybki podzerało... – i żyło się wspaniale. Spotykaliśmy się z ludźmi, było wesoło; pieniądze nie były tak ważne, bo i tak nic za nie nie można było kupić. Teraz życie polega na czymś zupełnie innym – i ja młodym ludziom naprawdę głęboko współczuję. Są osobowości ostro pracujące do przodu, dla których te czasy są naprawdę wspaniałe, ale są też ludzie bardzo zdolni, którzy mają mniej przebojowy charakter – i oni często przegrywają.

- Pani przez wszystkie lata swojej działalności aktorskiej zyskała coś więcej, niż tylko doraźną popularność – olbrzymi kredyt zaufania u ludzi. I zapracowały na to nie tylko klasyczne już role w teatrze jak Kora w „Nocy listopadowej”, czy Anieli w „Republice marzeń”, występy w filmie i telewizji, ale także Pani działalność społecznikowska.

- Tego kredytu zaufania staram się nie stracić. Jako osoba publiczna mogę skutecznie

pomagać innym. Ale mogę to robić może właśnie dlatego, że jeszcze jestem wiarygodna, że nie musiałam dorabiać grając w byle czym. Zresztą i to nie jest pewne. W jednej z gazet ukazała się kiedyś moja nieautoryzowana wypowiedź, w której powiedziałam, że nie będę reklamowała mleka... I po tej wzmiance otrzymałam kilkadziesiąt listów: niektórzy pisali, że są ze mnie dumni, bo daję przykład innym aktorom, ale inni byli szczerze oburzeni pytając: „Dlaczego beczka nie chce pani reklamować mleka? – To głupota! Przecież mleko to jest samo zdrowie – gdyby pani reklamowała mleko, może więcej dzieci by je piło i miałyby zdrowe zęby”. No widzi pan, jak to jest z tą popularnością... Zresztą reklamy też mogą być wspaniałe i dobrze zrobione. Moje obiekty nie wynikają na pewno z potępienia kogokolwiek – ja po prostu uważam, że na moją popularność zapracowało wielu wspaniałych ludzi. Nie jestem pewna, czy Swinarski, Jarocki albo Wajda byłiby szczęśliwi oglądając mnie teraz w reklamie mydła. Może gdybym była aktorką w kapitalizmie, podpisałabym swoim nazwiskiem wspaniałe reklamy własnych produktów, reklamowałabym coś, co byłoby naprawdę moje... np. brylanty dymne.

- Nie miała Pani oporów przed wystąpieniem w „Wiedźminie”?

- Żadnych. Co prawda najpierw syn po prostu kazał mi zagrać w tym filmie, ale po przeczytaniu scenariusza okazało się, że dostałam naprawdę piękną rolę. Gram w filmie kapłankę Nenneke, która zajmuje się przechowywaniem przemijających na Ziemi wartości. Ratuje przed całkowitym zaginięciem rośliny, które wyginęły już na Ziemi, doskonale zna się na

ziołach. Przekonuje Wiedźmina, że nie jest bezwolnym, tępy narzędnikiem do mordowania, że ma prawo do wyborów, do uczuć, że kocha, bo nigdy nie przestał być człowiekiem. Na planie tej superprodukcji było zresztą bardzo zabawnie – w jednej scenie towarzyszyły mi przywiezione z Wielkopolski zwierzątka: piękna łasiczka i szop prac. Szop był łagod-



Z Jerzym Stuhrem w filmie „Duże zwierzę”

ny, przyjacielski, w dodatku nazywał się „Seks”. Tak więc trafiła mi się „scena z Seksem”, a było go wszędzie pełno, bo jako urodzony żarłok ciągle szukał czegoś do przegryzienia, tażił po mnie, przeskadzał, a że Nenneke kocha zwierzątka więc zapalał do mnie dużą wzajemnością. Kiedy w ostatnim dniu zdjęciowym „Wiedźmina” jakiś niesympatyczny dziennikarz podszedł do mnie z kamerą i zażądał paru zdań, spytałam go – „czy może to być wypowiedź z seksem?” – popatrzył na mnie jak na wariatkę, choć potem sam przyznał, że „mój seks jest bardzo ujmujący”.

- Zmieniając temat, Pani samodzielność w prowadzeniu zajęć, nazwijmy je - pozaartystycznych, ma już swoją sławę.

- Właśnie zrobiłam trzydzieści pięć litrów przetworów i – proszę zobaczyć – połamałam sobie wszystkie paznokcie. Naład jeżdżę po Krakowie na rowerze, bo tak mi jest wygodniej. Wczoraj na Placu Ibramowskim robiłam zakupy z moim bratankiem i zapytałam go: „Maciek, o czym ja mam mówić do gazety, bo mam jutro wywiad”. Wie Pan co mi odpowiedział? – „Niech ciocia powie, że będzie straszna zima, bo okropnie koty myszy jedzą”.

- Możemy porozmawiać i o tym. A skąd u bratanka takie wiadomości?

- Ode mnie. W trakcie benefisu w Teatrze STU dostałam od Jasińskiego nowego kota. To już drugi. Pierwsza była „Czacza” – ta z piosenki Sikorowskiego: piękna ruda kulka, którą wszyscy sobie wyrwali, taka jest kochana. Nowy kot nazywa się „Haszysz” (inaczej nie chciał) i jest typowym mordercą. Razem z „Czaczą” przynoszą nam do domu tony mięsa, zżerają te myszki w sposób bezwzględny.

- Dom i ogród w Rzęsce, to, jak wnioskuje, Pani prawdziwy azyl

- Trzeba mieć w życiu jakąś odskocznię. W wakacje mieszkalam przez miesiąc w tajnej leśniczówce, pojeździłam sobie na rowerze wykonując najpiękniejsze pod słońcem trasy nadmorskie – w sumie kilkaset kilometrów, potem trochę pozwidziałam „świat”. Wie pan, ja jestem taki dziki człowiek. Uszczęśliwia mnie nawet beczka „gówienka” do podlewania roślin, którą dostałam od wspaniałego restauratora krakowskiego. Za pieniądze z „Wiedźmina” miałam umeblować swój pokój, ale zamiast tego zrobiłam w ogrodzie oczko wodne i kaskadę. Pływa sobie tam teraz siedem rybek: cztery karaski i trzy żółte liny, wychodzą lilie... Może to wszystko głupoty, ale życzę każdemu, żeby znalazł sobie w życiu właśnie takie problemy. To daje równowagę.

- Daje równowagę i stało się, w Pani przypadku, tematem na urokliwą piosenkę zespołu „Pod Budą”.

- Odkąd pamiętam zawsze lubiłam zespół „Pod Budą”. Andrzej jest wspaniałym poetą. Piszę prosiutki, nieegzaltowane teksty, które trafiają prosto w serce. Kiedy dowiedziałam się, że Andrzej i Ania Treter będą naszymi sąsiadami bardzo się ucieszyłam, że ich poznam i będę mogła z nimi rozmawiać.

- Kiedy mieszkała Pani w centrum Krakowa, w ograniczonym przecież metrażu (i

na strychu), gromadzenie roślin musiało być dosyć skomplikowane.

- W Krakowie, na strychu miałam osiemdziesiąt gatunków kwiatów. Przeznaczaliśmy dla nich specjalne wnęki balkonowe. Nie było z tym specjalnego problemu, bo Wiesiu też bardzo lubił kwiaty. No, trochę je podkradaliśmy, ale to w końcu taka mała kradzież, a – jak wiadomo – najlepiej rosną kwiaty kradzione. Ja zresztą zawsze marzyłam o ogrodzie. Kiedy byłam małą dziewczynką, na parapecie posadziłam poziomki które wykopałam w lesie i kiedy zakwitły nam trzy poziomki razem z bratem zapyaliśmy je pędzelkiem. Było z tego raptem kilka owoców i nożem kroiliśmy je dla pięciosobowej rodziny. Czy Pan wie, że ja do dzisiaj pamiętam smak tych poziomek?

- Z ogrodem podobno jest tak, jak z człowiekiem – nieuprawiany obumiera.

- O wszystko trzeba walczyć i dbać, kiedy się dba o miłość – będzie trwała wiecznie. Rośliny są jak istoty – trzeba umieć je pooglądać, pogadać z nimi, pogłaskać – wtedy się odwdzięczają.

- Dorota Segda opowiadała mi kiedyś, że odkąd publicznie opowiedziała, że zbiera szklane jeże, nieustająco dostaje nowe egzempla-

rze od znajomych. Może teraz wszyscy będą Pani przynosić sadzonki...

- Każda by u mnie znalazła miejsce, ale ludzie raczej kupują cięte kwiaty – choć roślinie w moim ogrodzie kilka cennych prezentów. Na przykład daglezja „Oleńki” – od Oli Maurer, magnolia od moich studentów, klon od przyjaciół z Montrealu wyhodowany w zakorzenionego, półzgnitego listka, oset od Bińczyckiego... Wiele moich roślin ma swój miły „życiorys”. A pierwszego jeża do kolekcji Dorotki Segdy kupiłam ja; z wdzięczności za kolejne szklane zwierzątko, które Dorotka przywozła do mojej „szklanej menażerii” gdzieś ze świata.

- A czy znalazł się Pani słynny „kamień miłości” od Wiesława Dymnego – słyszałam, że gdzie się zapodział.

- Znalazł się, na szczęście. To jest kamień, dzięki któremu Dymny mnie pierwszy raz w życiu dotknął. W trakcie realizacji filmu Kluby „Pięć i pół bladego Józka” wracaliśmy autobusem z Płocka. Była wtedy nieprawdopodobnie ostra zima. Dymny znalazł ten kamień nad Wisłą, ogrzewał go w swoich dłoniach i – jeszcze ciepłutki – dawał mi do zmarzniętych rąk. Wreszcie ktoś mu poradził, żeby ogrzał mi ręce w swoich dłoniach. To był lepszy sposób! Potem podarował mi ten kamień na zawsze, i ja go przez całe życie miałam przy sobie. Cierpiałam, kiedy się zgubił, a teraz mam satysfakcję, że się odnalazł. To nie jest jedyny kamień, który przechowuję. Z wszystkich podróży zwożę do domu różne dziwne rzeczy – kamienie, korzonki, muszelki. Drogocennych kamieni nie zbieram, z rozsądku.

- Z rozsądku, czy żeby odstraszyć potencjalnych złodziei?

- Nie, naprawdę z rozsądku: mam uczulenie na biżuterię, nawet pasek na zegarek mam antyalergiczny. I może dlatego ciągle go gubię.

- Może to będzie pointa naszej rozmowy?

- Z braku innej – niech będzie.